



Mirosław Derecki (M.D.)

EKRAN I WIDZ: MEL BROOKS à LA HITCHCOCK

W wydanym w ubiegłym roku „Leksykonie reżyserów filmowych” Zbigniewa Pitera - pozycji u nas pionierskiej w tym zakresie - wśród ponad 450 sylwetek zagranicznych reżyserów, którzy - jak stwierdza autor - „już trwale zapisali się w historii sztuki filmowej”, na próżno szukalibyśmy nazwiska Mela Brooksa. To prawda: reżyser ten nie należy do artystów wyznaczających nowe kierunki rozwoju światowego kina. Jego osiągnięcia w gatunku komediowym, który uprawia, nie mogą się równać na przykład z tymi, jakie może zapisać na swoim koncie inny twórca współczesnej amerykańskiej komedii, Woody Allen (nb. temu ostatniemu Pitera poświęcił hasło w swoim leksykonie), ale też faktem jest, że filmy Mela Brooksa cieszą się dużym powodzeniem i mają liczne rzesze zwolenników.

Tak czy inaczej, po Woody Allenie właśnie Mel Brooks jest tym „drugim” we współczesnej amerykańskiej filmowej komedii. Jest przy tym osobowością zupełnie inną niż Allen. Tamten sięga najczęściej, do purée-nonsensu, jego humor ma wymiar intelektualny, dowcip opiera się na grze słów, sytuacje filmowe - na spiętrzających się paradoksach. Brooks przeciwnie: nawiązuje najchętniej do doświadczeń dawnego kina; do amerykańskiej farsy, do komedii slapstickowej, lansując humor nie zawsze zresztą najbardziej wybredny. Ale też jego filmy pełne są pomysłów, cechuje je prawie nieokiełznany dynamizm, szybkie tempo, no i to, że jak za dawnych lat kina, publiczność oglądająca film Brooksa, co kilka chwil wybucha huraganowym śmiechem. Tak śmiejemy się - spontanicznie, serdecznie i beztrąsko - na filmach z Flipem i Flapem czy na zwariowanych, starych, komediach Macka Senneta zapominając nagle, że film ma być sztuką a komedia - ma być godną nas, którzy osiągnęliśmy „odpowiedni” stopień inteligencji, wiedzy, samoświadomości oraz kultury. Może wiele racji ma amerykańska znana recenzentka filmowa Paulinę Keal - tak zniechęcona przez „poważną krytykę” - kiedy pisze w jednym ze swoich szkiców krytycznych: *„Gdzieś w głębi duszy widzowie naprawdę pragną, by filmy były tandetnie zrobione, podoba im się wulgarność. To jest wytchnienie. Wakacje od dobrego wychowania, dobrego smaku i konwencjonalnych reakcji. Publiczność burleski zdawkowo oklaskuje wdzięcznie eteryczną tancerkę, ale szaleje za sprośną, baryłą, która klepie się po otyłych biodrach. Po to przecież chodzi się na burleskę.”* I może także i z tego powodu tak chętnie chodzimy na filmy Mela Brooksa.

Zabawa na filmach Brooksa polega między innymi na tym, że większość z nich to komediowe parafrazy, czy też parodie, względnie pastisze znanych dzieł albo gatunków filmowych. W dodatku - te „przeróbki” robione na sposób „sztubacki” - jakby powiedzieli nasi rodzice - a my porównalibyśmy je prędzej do stylu parodystycznego uprawianego przez „studenckie”, krakowskie „Spotkania z balladą”. Dowcip Woody Allena istnieje „sam w sobie”; komedie Mela Brooksa są tym śmieszniejsze im lepiej orientujemy się w materii i w kierunku czy też gatunku filmowym, jaki parodiują.

Mel Brooks ma dzisiaj 53 lata (właściwie nazywa się Melvin Kamiński). Zaczynał karierę, jako autor skeczów dla amerykańskiej telewizji. Podobnie zresztą jak Woody Allen. Tak samo też jak i Allen najczęściej występuje w reżyserowanych przez siebie filmach, prezentując doskonale aktorstwo komediowe. Debiutował w długim metrażu w 1967 r. farsą „The Producers” („Producenci”) pokazującą w zabawny sposób perypetie bohaterów filmu - menażerów działających w show-busiessie. Kpiną z popularnych w Stanach Zjednoczonych westernowych tzw. „końskich oper” był film „Blazing Saddles” („Błyszczące siodła”), a parodia „filmów grozy” - obraz zatytułowany „Frankenstein junior”.

My oglądaliśmy nakręcone przez Brooksa w 1976 r. „Nieme kino” - bardzo zabawną parafrazę amerykańskiej burleski filmowej z okresu kina niemego, z doskonałymi kreacjami aktorskimi Marty Feldmana, samego Mela Brooksa oraz jego żony - Ann Bancroft. „Nieme kino” było pastiszem, ale zarazem też próbą udowodnienia, że i dzisiaj, w dobie dźwięku, można zrobić film komediowy, w którym nie pada z ust aktorów oni jedno słowo.

„Nieme kino” cieszyło się u nas sporym powodzeniem i pewnie, dlatego następny film Brooksa - „Lęk wysokości” nakręcony w ubiegłym roku, możemy już oto właśnie oglądać na polskich ekranach.

W czołówce filmu Brooks zamieścił zdanie, że dedykuje „Lęk wysokości” Alfredowi Hitchcockowi. I od razu dla większości widzów staje się jasne, że będą oto mieli przez następne półtorej godziny do czynienia z pastiszem filmowej twórczości niepokonanego, jak dotąd, „mistrza suspense”.

Brooks z miejsca wprowadza nas w samo centrum hitchcockowskiej atmosfery. Zaczynając filmową opowieść od przyjazdu głównego bohatera do szpitala dla umysłowo chorych, gdzie ma on objąć stanowisko dyrektora. Od tego nawiązania do „Urzeczonej” Hitchcocka z 1945 r., będzie nas teraz wiódł Mel Brooks - wraz z dyrektorem Thorndyke, demoniczną siostrą Diesel oraz jej kochankiem - zbrodźcą doktorem Montague - przez świat filmów Alfreda Hitchcocka. Spotkamy się z elementami „Zawrotu głowy”, „Okna na podwórze”, odnajdziemy znajome typy z „Nieznajomych z pociągu” czy „Złodzieje w hotelu” oraz scenę jakby żywcem wyjętą z „Ptaków”, tyle, że w bardzo Brokowska sposób przetworzoną.

I tak dalej i tak dalej - z humorem, dynamizmem i całkiem udatnym suspensem, z doskonałą grą aktorską samego Mela Brooksa w roli dyrektora szpitala, cierpiącego na lęk wysokości.

Kto czytał np. „Kino według Hitchcocka” François Truffauta będzie miał tym liczniejsze powody do zabawy wyławiając w „Lęku wysokości” tym więcej hitchcockowskich „smaczków”, ale również widz, który w ogóle nie zna twórczości Hitchcocka (czy są tacy wśród miłośników kina?) znajdzie w filmie Brooksa dobrą porcję wakacyjnej rozrywki.

Pierwodruk: „Kamena”, 1979, nr 17, s. 14.